

WSPOMNIENIA  
Z P R A C Y  
W SZKOLE POLSKIEJ  
W NOWYM KRAMSKU  
(1930 – 1937)

**W** listopadzie 1929 r. jeden z pracowników Kuratorium Okręgu Szkolnego w Poznaniu przystąpił do mnie z zapytaniem, czy nie chciałbym zgłosić się do pracy w szkolnictwie polskim w Niemczech. Nie odpowiedziałem od razu na tę propozycję. Rozważałem skrupulatnie wszelkie „za i przeciw”. Znałem kolegów pracujących w Dąbrówce Wielkiej, w powiecie międzyrzeckim, więc wiedziałem co nieco o trudnych warunkach ich pracy. Byłem jednakże wówczas człowiekiem w pełni sił, mogłem więc podjąć się sprostać najtrudniejszym zadaniom. Właściwie byłem do tej pracy przygotowany. Wyrosłem wśród Niemców, kształciłem się wśród Niemców na Preparandce w Międzyrzeczu i w Seminarium Nauczycielskim w Paradyżu, w obecnej wsi Gościkowo. Językiem niemieckim władałem bardzo dobrze i znałem — rzecz bardzo ważna — psychikę Niemców. Znałem też warunki w jakich żyli i pracowali rodacy w regionie babimojskim i międzyrzeckim — a o ewentualną moją pracę w tych właśnie regionach chodziło — gdyż za czasów moich studiów często odwiedzałem kolegów mieszkających w tych okolicach. Najważniejszą wszakże korzystną okolicznością był fakt, że ukończyłem nauczycielskie seminarium pruskie, miałem więc to samo wykształcenie co nauczyciele niemieccy.

Po głębokim namyśle zdecydowałem się i napisałem zgłoszenie do pracy w szkolnictwie polskim w Niemczech. Na załatwienie mego wniosku nie czekałem długo. W końcu roku 1929 powiadomił mnie Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech, że powierza mi posadę kierownika szkoły w Nowym Kramsku. Równocześnie zawezwano

mnie do Berlina po odpowiednie instrukcje do Związku Polskich Towarzystw Szkolnych oraz do Poselstwa Polskiego.

Kuratorium Szkolne zwolniło mnie wówczas z posady zajmowanej dotąd przy IV Szkole Wydziałowej w Poznaniu, udzielając bezpłatnego urlopu na czas nieograniczony. Ukończywszy w ciągu dwóch tygodni przygotowania do wyjazdu i pożegnawszy rodzinę, w ostatnich dniach grudnia 1929 r. wsiałem do pociągu idącego w kierunku Berlina i w tym momencie rozpocząłem nowy rozdział mego życia.

W Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie doznałem serdecznego przyjęcia. Prezes Związku — Jan Baczewski, do niedawna również poseł na sejm pruski, bardzo dzielny i odważny bojownik o polskość — poinformował mnie dokładnie o nowej placówce pracy i funkcji kierownika szkoły. Tam też dowiedziałem się bliższych szczegółów o Nowym Kramsku, w tym i relacji o niepokojącym skłóceniu kilku wpływowych polskich rodzin tej wioski, przy czym poróżnienie to nie pozostawało bez znaczenia dla sytuacji polskiej szkoły, kierowanej do tego czasu przez Włodzimierza Szewsa.

Jan Baczewski główny nacisk kładł na pracę społeczną. Maksymilian Brasse, wizytator polskich szkół w Niemczech, udzielał znowu informacji innego rodzaju. Dotyczyły one nauki w szkole, pomocy naukowych, organizacji pracy szkolnej. Wizytator kładł główny nacisk na pracę w szkole. Moim zaś zdaniem jedno i drugie było równie ważne, praca w szkole i praca społeczna powinny być się uzupełniać, równoważyć, bez faworyzowania jednej kosztem drugiej. W każdym razie odniosłem wrażenie, że w Związku Polskich Towarzystw Szkolnych są właściwi ludzie na właściwym miejscu. Dr Michałek załatwiał ze mną sprawy organizacyjne w Związku. Wszyscy trzej panowie byli bardzo sympatyczni i z całą powagą, troską i zrozumieniem walczyli o sprawy rodaków.

W Poselstwie otrzymałem z kolei innego rodzaju informacje i wskazówki, których należało przestrzegać na stanowisku kierownika szkoły polskiej w Niemczech.

Od rozmaitych pouczeń aż huczało mi w głowie. Ale najwięcej przerażały mnie wiadomości o nieporozumieniach oddziaływających na życie narodowe kramskiej społeczności polskiej.

Najtrudniej przecież znaleźć platformę porozumienia z ludźmi, u których osobiste antypatie, czy nieustępliwość górują nad zdrowym rozsądkiem. A miałem rozpocząć zmagania o sprawy bardzo istotne — o wychowanie polskie młodzieży i o podtrzymanie ducha narodowego rodaków. To też z Berlina wyjeżdżam do Nowego Kramska z ciężkim sercem. Obawiałem się, czy wobec takich warunków praca moja będzie miała powodzenie, czy sprostam zadaniu, jakie na mnie czeka. Im bliżej byłem Nowego Kramska — tym większe ogarniało mnie zdenerwowanie. Wsiadłszy w Kolesinie z pociągu, zostawiłem bagaż w przechowalni i wyruszyłem pieszo w dalszą drogę. W miarę, gdy zbliżałem się do celu mej podróży, narastała ciekawość jakie przyjęcie mnie spotka i jak rozwinie się moja pedagogiczno-społeczna przygoda.

Nowe Kramsko liczyło wówczas około 1250 mieszkańców, przeważnie Polaków. Niemców było tylko około 120. Wioska robiła wrażenie małego miasteczka. W środku wsi zabytkowy kościół, będący pod ochroną. Prawie

wszystkie domki masywne, schludne, ulice brukowane, po bokach chodniki. Cała wieś zelektryfikowana, na ulicach elektryczne oświetlenie. Ludność składała się w przeważającej większości z robotników i rolników. Prócz tego była też spora liczba wszelkiego rodzaju rzemieślników, dwie restauracje i trzyklasowa szkoła niemiecka. Był też i Bank Ludowy, instytucja wyłączenie polska, który oddawał rodakom wielkie usługi, udzielając pożyczek na cele budowlane lub na kupno nieruchomości z rąk niemieckich. Kierownik jego Feliks Bednarkiewicz — z zawodu kowal, mający już przeszło 70 lat, samodzielnie zestawiał bilanse i załatwiał sprawy wekslowe, słowem — mimo sędziwego wieku owocnie sterował działalnością banku.

Znalazłszy się u kresu mej wyprawy, zgłosiłem się u kierownika szkoły Włodzimierza Szewsa, którego miałem zastąpić. Jakkolwiek dzień po dniu przynosił potwierdzenie owych nieporozumień, o których mnie w Berlinie informowano, to jednak ogół kramskich rodaków był zadowolony z mego przyjazdu i przyjął mnie bardzo serdecznie. Szczególnie uradowało ich, gdy dowiedzieli się, że mam to samo wykształcenie, co nauczyciele niemieccy. Dla nich był to fakt niezwyklej wagi. Wiele bowiem upokorzeń znaleźli rodacy, gdy im niemieccy nauczyciele wytykali, że polscy pedagodzy nie mają odpowiednich kwalifikacji, a tylko kilkumiesięczne kursy jako przygotowanie do pełnienia zawodu nauczycielskiego. W rzeczywistości w momencie, gdy objąłem kierownictwo nowokramskiej szkoły — tylko Jadwiga Kapałówna miała ukończone seminarium nauczycielskie. Ten brak fachowości był silnym atutem w rękach nauczycieli niemieckich i renegatów, tym bardziej, że argumentowali oni, iż pod takim kierunkiem dzieci nie nauczą się poprawnie władać językiem niemieckim, a co za tym idzie — nie dadzą sobie w życiu rady. Z chwilą, gdy objąłem kierownictwo i po niejakiem czasie na miejsce Władysława Walasiaka przyszedł Roman Jaskólski, wytrącono Niemcom i renegatom tę broń z ręki. Już nie mogli nagrawać się, że polscy nauczyciele nie mają fachowego wykształcenia, a renegaci strawić wprost nie mogli tego, że kierownik szkoły polskiej był nawet razem z nauczycielami niemieckimi w Seminarium w Paradyżu. Bo przypadek tak zrzędził, że wszyscy trzej nauczyciele niemieccy, których na początku mego urzędowania w Nowym Kramsku zastałem, byli moimi znajomymi. Kierownika Brescha znałem z młodych lat, gdy był na Preparandce w Międzyrzecu, a z Banaschem i Englerem uczyłem się razem w Seminarium w Paradyżu. Osobliwy to był traf. Mimo tak bliskiej znajomości z ławy szkolnej szkodzili mi, gdzie tylko mogli.

Przed otwarciem szkoły polskiej w czerwcu 1929 r. było na liście blisko 100 dzieci. Zaczęło jednak uczęszczać tylko 75 dzieci, a parę miesięcy później, gdy objąłem kierownictwo, szkoła liczyła 72 dzieci. Różnica między pierwotną cyfrą dzieci, a ostatnią była w wielu przypadkach dziełem złej woli tych, których określaliśmy wówczas „renegatami”. Będę w moich wspomnieniach nieraz wskazywał na skutki rozluźnienia lub krańcowego zerwania więzów narodowych, które obserwowałem wśród kramskiej społeczności, więc już teraz skreślę kilka ogólniejszych uwag o tych, którzy nierzadko sami zepchnęli się na peryferie lub poza granice narodowej wspólnoty.

Wielu spośród renegatów odegrało rolę haniebną i podłą. Chcieli przypodobać się żandarmom za wszelką cenę. Informowali ich skwapliwie i chętnie o wszystkim. Nieraz odnosiłem wrażenie, że donosicielstwo kwitło bujnie. Kramszczanie od wielu lat stanowili zamkniętą społeczność, nie dopuszczali nikogo z innych wiosek. Związki małżeńskie zawierano w obrębie Nowego Kramska. Po wielu latach wytworzyła się specyficzna sytuacja — właściwie wszyscy byli między sobą spokrewnieni lub też spowinowaceni. Renegaci i nieprzejednani Polacy byli członkami tych samych rodzin. W takiej strukturze rodzinnej wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Zdarzało się często, że jedni członkowie rodziny posyłali dzieci do szkoły polskiej, inni do niemieckiej. Przez stykanie się w życiu rodzinnym renegaci znali każde słowo, które na terenie szkoły zostało wypowiedziane, byli poinformowani o każdym szkolnym wydarzeniu. Wiadomości takie — aby się przypodobać — przekazywali skrzętnie żandarmom, a ci z kolei kierowali je do słynnego polakożercy, komisarza Erbta z Kargowej. Toteż z wielką chętnością pochwalili się on raz przede mną: „Ich weiss alles” (wiem o wszystkim). Żandarmi bardzo chętnie korzystali z usług renegatów. Był to przecież sposób łatwy, tani i doskonały w zdobywaniu najświeższych wiadomości. Toteż udawali wielkich ich przyjaciół, mówili sobie wzajemnie „per ty”, czym naiwni renegaci czuli się bardzo zaszczytzeni. W gruncie rzeczy jednak renegatami Niemcy gardzili.

Zdając sobie sprawę, że kontrowersje międzyrodzinne albo osobiste mogą sprzyjać lub nawet przyspieszać przechodzenie do kręgów narodowo obojętnych lub wręcz na pozycje renegactwa, od początku mej działalności na terenie Nowego Kramska skierowałem swoje wysiłki przede wszystkim ku temu, żeby poróżnione rodziny bądź osoby doprowadzić do zgody. W wielu przypadkach to im się powiodło, ale czterech najbardziej wpływowych osób na terenie Nowego Kramska nie zdołałem ze sobą bez reszty pogodzić. Pewnego razu, było to po zabawie Towarzystwa Młodzieży, urządziła grupa amatorów-aktorów małe spotkanie towarzyskie z tańcami, w którym wzięli udział wszyscy czołowi przedstawiciele nowokramskich rodaków. Tak się złożyło, że przy jednym stole siedzieli: Jan Cichy, Stanisław Obst, Waclaw Fabiś, Feliks Bednarkiewicz i ja. Sytuacja — jak wyreżyserowana. Nastrój przyjemny, popijaliśmy wino. Przeszło mi przez myśl, że jeżeli tej chwili, która mi tak bajecznie przydarzyła się, nie wykorzystam i tych przywódczych działaczy nie pojednam — to już chyba nigdy nie zdolam tego przeprowadzić. Ostrożnie poprowadziłem rozmowę na tematy patriotyczne, na rolę współpracy, na konieczność wzajemnych ustępstw dla osiągnięcia wyższych celów. Z nadzieją w sercu chwyciłem kielich i wzniosłem toast za zdrowie, jedność i zgodę. Niestety — podniesionymi głosami zaczęli sobie wypominać stare i nowe pretensje, stawiać zarzuty i obrażać wzajemnie. Zapamiętałość i wybujała ambicja były ponad wszystko. Rozeszli się znów poróżnieni. A przecież każdy z nich przedstawiał niepoślednie walory i miał duże zasługi na polu pracy patriotycznej. Żal i smutek przepełnił mi serce, gdy zrozumiałem, że tych ludzi nie stać na to, aby znaleźli kompromis i aby zgodnie połączyli swe umiejętności i wysiłki.

W przyszłości, gdy tego zaistniała potrzeba, musiałem więc dyplomatycznie nakłaniać do właściwych decyzji, względnie oddziaływać swoim autorytetem.

Od pierwszych dni mej pracy w Nowym Kramsku uderzało mnie to, że rodacy w mowie potocznej posługują się dość czystym językiem polskim, pielęgnują piękne polskie zwyczaje, których nie zapomnieli, mimo że przeżyli długie lata niewoli, w której były okresy szczególnie silnej akcji germanizacyjnej. Opowiadali mi, że w czasach przed pierwszą wojną światową inspiratorem ich oporu i działalności narodowej był miejscowy proboszcz, żarliwy patriota, ks. Dudziński, który czuwał nieustannie nad tym, aby rodacy nie germanizowali się. Upominał ich, żeby nie zawierali związków małżeńskich z Niemcami. Nalegał na rodziców, aby uczyli swe dzieci czytać i pisać po polsku. Pielęgnował śpiew polski w kościele. Jeszcze za moich czasów w czasie nabożeństw śpiewano unisono wyuczony w tamtych latach polskie pieśni, odtwarzając z pamięci wszystkie zwrotki, których nieraz było kilkanaście. Ten piękny wspólny śpiew wywierał głębokie wrażenie, jednoczył, wzbudzał i podnosił ducha polskiego. Ów duchowny również dopilnował, aby nie zapomniano polskich zwyczajów i strojów narodowych. Opiekował się Bankiem Ludowym i starał się, żeby rodacy mogli otrzymać pożyczki na kupno parceli i budowę nowych domów. Sytuacja pogorszyła się, gdy ten ostatni ksiądz — Polak opuścił Nowe Kramsko, uciekłszy po pierwszej wojnie światowej w przebraniu do Berlina, a stamtąd do Polski, unikając w ten sposób niechybnej śmierci za udział w konspiracji przygotowującej Powstanie Wielkopolskie. Od tam sprawowali władzę kościelną w Nowym Kramsku księża niemieccy. Niektórzy z nich wszelkimi sposobami zwalczali wszystko co polskie. Do takich należał ks. Sieg. Dewizą jego postępowania było „wir müssen sie klein kriegen” (musimy ich zwyciężyć). Toteż dla łatwiejszego oddziaływania na młodzież założył niemieckie stowarzyszenia młodzieżowe. Wśród niemieckich księży wyjątek natomiast stanowił ks. Papack, który był wobec Polaków lojalny i nieraz dawał nam nawet dowody życzliwości, udzielając cennych rad lub informacji. Mimo nacisku władz duchownych niemieckich, aby zaprowadzić wyłącznie niemieckie nabożeństwa kościelne, tylko co drugą niedzielę odprawiano ranne msze dla nielicznej grupy niemieckiej, w której większość zresztą stanowił element zgermanizowany. Nadal natomiast suma i wszystkie inne nabożeństwa odbywały się po polsku ze śpiewami polskimi. Przy okazji wizytacji biskupiej ks. Papack w powitalnym przemówieniu oświadczył nawet z naciskiem, że parafia jest polska i zamieszkuje ją tylko 5 rodzin Niemców — katolików.

W momencie zainstalowania się w Nowym Kramsku w styczniu 1930 r., zastałem dwie siły nauczycielskie: Jadwigę Kapałównę i Władysława Walsiaka, którego zastąpił niebawem Roman Jaskólski, a w ostatnich latach mej pracy stanowisko Kapałówny przejęła Maria Zientarówna. Kapałówna, Jaskólski i Zientarówna byli dzielnymi współpracownikami, tak w pracy szkolnej jak i społecznej. Między nami panowała harmonia, wzajemne zrozumienie i szacunek. Idea, dla której pracę podjęliśmy, wypełniała nasze życie. Toteż rodacy do nas łągnęli, darzyli nas ogromnym zau-

faniem, co znajdowało swój wyraz między innymi w tym, że przy każdej większej lub mniejszej uroczystości rodzinnej pragnęli nas mieć wśród siebie. Tak więc proszono nas na świnobicia, wesela, a w karnawale na pączki itp. Podziwiałem jak piękne zwyczaje kultywowano w Nowym Kramsku przy obrzędzie zaślubin. Nie było wśród rodaków żadnego wesela bez staropolskich śpiewów, przyspiewek, tańców i obrzędów. Do tańca zawsze przygrywał kozioł.

Zaproszenia te chętnie przyjmowaliśmy, była to bowiem świetna okazja do bliższych, serdeczniejszych kontaktów z rodakami, które sprzyjały naszej pracy. Harmonijne współzycie naszego grona nauczycielskiego między sobą i z kramskimi rodakami było przysłowiową solą w oku renegatów, tym bardziej, że wśród nauczycieli niemieckich były nieporozumienia i intrygi. Chciano więc nas wyszydzić i ośmieszyć. Wykorzystano do tego nawet prasę. Ukazał się mianowicie w „Grünberger Zeitung” artykuł pod niewinnym tytułem „Niedliches kleeblatt” („Sympatyczna trójka”), który mówił o tym, że wszędzie pokazujemy się razem i nie mając co jeść, chętnie chodzimy do ludzi na wyzerkę.

Mimo wszechstronnych pruskich szykan i nacisków, szkoła polska rozwijała się pomyślnie, liczba dzieci stale rosła. Gdy zbliżał się początek pierwszego nowego roku szkolnego za mego urzędowania — 1 kwietnia 1930 r. — było ogólne podniecenie wśród rodaków. Przeżywali wiele emocji, oczekując rozwiązania zagadki: kto spośród tych rodziców, których pierwsze dziecko osiągnęło wiek szkolny, opowie się za szkołą polską. Rodacy rozpoczęli ożywioną agitację wśród znajomych i krewnych. Do tych domów, gdzie rodzice nie byli zdecydowani, poszedł Cichy lub Obst. Gdy nadszedł pierwszy dzień kwietnia 1930 r. przyjąłem 19 nowicjuszków, a szkoła niemiecka tylko 9. Powstała wówczas wśród renegatów i nauczycieli niemieckich wielka wrzawa, a wśród rodaków i nauczycieli polskich zapanowało zadowolenie i otucha do dalszej wyteżonej pracy. I tak co roku wzrastała liczba uczniów naszej szkoły, a do dnia, w którym Nowe Kramsko opuściłem (tj. do 31 grudnia 1937 r.), ilość dzieci prawie podwoiła się. W tych niesłychanie trudnych warunkach pracy, tylko ściśle współdziałanie domu i szkoły mogło dać pożądane efekty. Z tego właśnie brały się rozmaite porażki renegatów i nauczycieli niemieckich, zdarzające się nierzadko na przestrzeni tych lat. Wielką radość sprawiła mi pewnego razu żona gospodarza Nitschego, gdy przyprowadziła dwoje dzieci Matiasa — swego szwagra — do szkoły polskiej. Były to dzieci dobrze wychowane, dziewczynka bardzo inteligentna i pilna. Tego samego dnia, jeszcze przed południem pobiegł Engler, od niedawna kierownik szkoły niemieckiej, do Matiasa, prosząc, żeby dzieci przysłał z powrotem do szkoły niemieckiej. Za nim pośpieszył Cichy do Matiasa i upominał, aby pod wpływem Englera nie zmienił swej decyzji, ponadto pouczając go, że nauczycielowi niemieckiemu nie wolno agitować na rzecz szkoły, więc gdyby jeszcze raz Engler odważył się przybyć — należy go wyprosić z mieszkania.

Kiedyś indziej znów zastukał ktoś późnym wieczorem do okna mego mieszkania. Było to w przeddzień rozpoczęcia nowego roku szkolnego 1937-38. Oto przybył gospodarz Kędzierzyński z Kolesina, aby zakomuni-

kować mi, że następnego dnia przyśle swoją córeczkę do polskiej szkoły. Było to o tyle niebywale, że Kolesin, choć oddalony od Nowego Kramaska o jeden kilometr, należał już do prowincji brandenburskiej, podczas gdy nasza wieś należała do prowincji pilskiej zwanej „Marchią graniczną Poznań — Prusy Zachodnie”. Wypadek ten spowodował aż ingerencję niemieckiego inspektora szkolnego z Kargowej. Zarządził on natychmiastowe przekazanie uczennicy do szkoły niemieckiej w Kolesinie. Zagrałem na zwłokę. Wynikła obfita korespondencja z władzami. W końcu na skutek interwencji Związku Polaków w pruskim ministerstwie oświaty inspektor Strukat musiał ustąpić i cofnąć swoje zarządzenie. Można sobie wyobrazić wściekłość przeciwników i ogrom naszej satysfakcji. Szowinistyczni hitlerowcy ocenili ten wypadek, jako sygnał ekspansji szkoły polskiej — o grozo — w kierunku Odry.

Pracę szkolną podzieliliśmy między siebie w ten sposób, że Kapałówna była opiekunką najmłodszych dzieci — klasy III, która miała swoją izbę szkolną w domu Wincentego Adama. Walasiak, a po nim Jaskólski, byli wychowawcami klasy II, która miała swój lokal w gmachu szkoły rządowej. Ja zaś byłem wychowawcą najstarszych dzieci — klasy I, która miała swoją izbę u Jana Krawca. Krawiec wraz ze swoją rodziną, synem Dominikiem i córką Apolonią był pierwszym, który otwarcie zadeklarował i oddał dwie izby na cele szkolne, nie żądając nawet zapłaty. Piękny to przykład patriotyzmu, który wywarł dobre wrażenie na wszystkich Polakach. Rodzina Krawca stanowiła zawsze silną ostoję polskości, szczególnie syn Dominik był nieustraszonym bojownikiem patriotycznym. Cała ta rodzina za swoją postawę często była narażana na szykany.

Gdy Hitler doszedł do władzy — wypowiedziano nam lokal w szkole niemieckiej. Trudno było znaleźć we wsi izbę i boisko, nadające się na cele szkolne. W tej przykryj sytuacji przyszedł mi z pomocą inny Polak, Stanisław Obst. Oddał on jeden pokój ze swego mieszkania do dyspozycji naszej szkoły.

Wszystkie trzy lokale były oddalone od siebie spory kawał drogi. Spieżyliśmy się więc bardzo, aby przy zmianie lekcji zdążyć z jednego lokalu do drugiego. Podczas słońca lub śnieżycy były to bardzo przykrye wędrówki. W połowie drogi mijaliśmy się zwykle z Jaskólskim, który zdążał do klasy I na lekcje geografii, historii i przyrody, a ja do klasy II na lekcje języka niemieckiego.

Tym uciążliwym i niekorzystnym tak dla dzieci, jak i dla nauczycieli warunkom lokalowym postanowiliśmy zaradzić przez pobudowanie gmachu szkolnego. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych chętnie się na ten plan zgodził i zalecił mi wyszukanie odpowiedniej parceli. Nie było to wcale łatwe. Wiele narad odbyliśmy z Cichym i Obstem. Dowiadywaliśmy się na wszystkie strony, czy ktoś nie sprzedałby kawałka gruntu pod budowę szkoły. Ale w Nowym Kramsku był głód ziemi, każdy przykupiłby gruntu, ale nie sprzedawał. Po kilku latach nadarzyła się jednak okazja kupna odpowiedniej parceli, której właściciel mieszkał w Podmoklach Małych. Gdy Cichy z nim w tajemnicy pertraktował i sprawa była na jak najlepszej drodze — wykupił nam parcelę gospodarz Lange, do którego po-

sesji przylegała. Zapłacił za nią więcej, byleby ją tylko zdobyć. Było to dla nas bolesne. Druga taka okazja już nam nie zdarzyła się. Trzeba było się pogodzić i zadowolić tym, co mieliśmy.

Podręczników właściwie posiadaliśmy niewiele. Były to: specjalny elementarz dla szkół mniejszościowych o mało interesującej i przyciągającej szacie zewnętrznej (dzieci niemieckie miały śliczny, kolorowy elementarz), historia biblijna i katechizm oraz tłumaczona z niemieckiego książka do czytania. W pomoce naukowe byliśmy dobrze zaopatrzeni. Mieliśmy nawet epidiaskop, do którego przywoziłem z kraju rozmaite przeźrocza. Za każdym razem przy odprawie celnej obawiałem się nieprzyjemności, ale zawsze jakoś szczęśliwie udało mi się je przewieźć. Mimo niewielkiej ilości podręczników dawaliśmy sobie radę i uczyliśmy z dobrymi wynikami. Wymagało to jednak większego przygotowania. Dokładaliśmy dużo wysiłku, aby poziom szkoły był jak najwyższy i mógł nie tylko konkurować, ale nawet przewyższyć poziom nauczania szkoły niemieckiej. Rodzice niekiedy porównywali zadania jakie odrabiali dzieci polskie oraz uczniowie szkoły niemieckiej i z zadowoleniem podkreślali, że ich dzieci w polskiej szkole nauczą się więcej. Było to zrozumiałe. Niemieccy pedagodzy nie zadawali sobie tyle trudu w nauczaniu. U nas odgrywała wielką rolę ambicja. Chodziło nam o to, żeby godnie reprezentować polskiego nauczyciela, aby rodacy mieli do nas zaufanie i byli dumni z wychowawców swoich dzieci. Cel ten osiągnęliśmy w całej pełni, mimo że władze niemieckie krępowały naszą pracę. Tak np. na naukę języka niemieckiego były wyznaczone tylko cztery godziny w tygodniu. Więcej godzin na naukę tego języka nie wolno było przeznaczyć. Dobre opanowanie języka niemieckiego przez dzieci polskie dawało im szansę powodzenia życiowego w przyszłości, a temu chciały władze zapobiec. Z kolei nauczyciele niemieccy używali jako argumentu zastraszenia rodziców, że w szkole polskiej dzieci nie nauczą się dobrze władać językiem niemieckim i będą miały później duże trudności. Trzeba więc było naukę języka niemieckiego forsować gdzie tylko dało się i szukać sposobów na to, aby dzieci jako tako opanowały ten język w słowie i piśmie. Np. aby zapoznać dzieci z technicznymi wyrazami z zakresu matematyki dyktowałem zadania domowe z matematyki również w języku niemieckim. Oczywiście nie było to dozwolone. Razu pewnego przyjechali na wizytację do szkoły radca rejencyjny i inspektor szkolny. Cichaczem i niespodzianie weszli do klasy. Dzieciom kazali wstać i wyłożyć teczki na stół, poczem przeprowadzili rewizję pod ławkami i w teczkach, szukając niedozwolonych książek lub innych obciążających dowodów. Gdy tak myszkowali, inspektor szkolny spostrzegł w jednym zeszytacie szkolnym zadanie z matematyki w języku niemieckim. Wielce zadowolony ze swego odkrycia pokazał zeszyt radcy rejencyjnemu, informując, że udzielam matematyki w języku niemieckim. Tłumaczyłem, że to było tylko ćwiczenie piśmienne, jako uzupełnienie tego, o czym była mowa na lekcji niemieckiego. Nie bardzo im to trafiało do przekonania. Kiwali głowami i długo nad tym debatowali. Mogli zrobić z tego przestępstwo, za które można było mnie zwolnić z posady i wydalic do kraju. Szczęśliwie do tego nie doszło. Wypadek ten w każdym razie był znamienity.



Od momentu objęcia władzy przez Hitlera kurs przeciw społeczności polskiej znacznie się zaostrzył. Żandarm Schultz wyraził się raz, że gdy przyszedł do Nowego Kramka, to nieliczni Niemcy obawiali się mówić na ulicy po niemiecku, ale teraz — chełpił się — już jest pod tym względem inaczej. Było rzeczywiście już inaczej. Dzieci renegatów idąc do szkoły lub wracając z niej, mówiły między sobą po niemiecku i to z dumą, głośno — aby wszyscy dobrze słyszeli. Nie pozdrowiały nas już jak dawniej po polsku, a wołały „Heil Hitler”, bo takie instrukcje otrzymały w szkole. Gdy je spotykałem, też w ten sposób głośno mnie pozdrowiały i... wybuchaly zadowolone śmiechem. Niemcy, żandarmi, nauczyciele i renegaci rozpoczęli zaciętą walkę z polskością, której ukoronowaniem miało być rozbięcie polskiej szkoły. „Wir müssen sie klein kriegen” — mawiali z zaciętością. Pewne wyobrażenia o terrorze jaki zapanował, może dać wspomnienie takiego zdarzenia: W dniu wyborów, które miały dać Hitlerowi ostateczne zwycięstwo, powołano specjalne grupy umundurowanych i uzbrojonych mężczyzn do kontrolowania spisów wyborców i wyławiania pośród nich tych osób, które ociągały się z przybyciem do urn wyborczych. Hitlerowcy chcieli się bowiem pochwalić przed światem, że wszyscy obywatele już w pierwszych godzinach głosowania wyrazili swoją aprobatę Hitlerowi. Toteż umundurowani funkcjonariusze przychodzili do mieszkań — jak określali — maruderów i eskortowali ich do lokali wyborczych. Taki właśnie charakterystyczny obrazek zaobserwowała Kapałówna. Prowadziła lekcje w klasie u Wincentego Adama, gdy nagle głośny lament, pochodzący z ulicy, zwabił ją do okna. Ujrzała Apolonię Krawiec, którą wyprowadzono na ulicę wprost od pieca kuchennego. Szła zawodząc i zakrywając sobie twarz fartuchem. Za nią postępował Dominik Krawiec, a z tyłu kroczył umundurowany mężczyzna z karabinem. Niewiele zastanawiając się Kapałówna nastawiła aparat i tę właśnie scenę uwieczniła. Fotografia długo była świadectwem „swobód obywatelskich” jakie panowały w reżimie hitlerowskim. Niestety w zawierusze wojennej dokument ten przepadł.

Nowe władze państwowe podjęły szczególnie wrogą ofensywę w stosunku do szkoły polskiej. Inspektor szkolny coraz częściej wpadał do klasy, przeprowadzał rewizję szaf i teczek. Dzieci — jak to dzieci, mimo upomnień z mej strony, przynosiły do szkoły rozmaite śpiewniki i książki. Pewnego razu, gdy Strukat wpadł do klasy, rozszedł się po klasie dziwny szelest. Okazało się, że to dzieci chowały pod ubrania śpiewniki, aby nie wpadły w ręce inspektorowi. Ciekawym dowodem uczulenia dzieci, nawet tych najmłodszych, w swoistej pracy konspiracyjnej był następujący wypadek: Gdy kiedyś znów nastąpiła wizytacja, posłałem szybko chłopca do Kapałówny, aby ją o tym powiadomić. Kapałówna otrzymała chwilę przedtem od policjanta przepisy ruchu drogowego i rozdała je dzieciom. Za ścianą klasy mieszkała rodzina z małymi dziećmi. Kapałówna na wieść o wizytacji wpadła do sąsiedniego mieszkania, prosząc o ucieszenie dzieci, bojąc się, że przedstawiciel władzy hitlerowskiej mógłby z tego skorzystać i zażądać zamknięcia szkoły, jako pracującej w niewłaściwych warunkach. Wróciła szybko do klasy i zauważyła, że wszystkie rozdane przepisy ruchu

drogowego dzieci powpychały do kosza od śmieci. Zdziwionej nauczycielce sploszone dzieci tłumaczyły, że bały się, aby posiadaniem tych druków nie zaszkodzić polskiej szkole.

Hitlerowcy uparcie szukali pretekstów, aby nauczycieli polskich wywalić. Na ich miejsce nie wpuszczali już z kraju żadnego innego, a nauczycieli — obywateli niemieckich, było jeszcze mało. Owych pretekstów miały dostarczyć niespodziewanie organizowane przez Strukatą kontrole wyników nauczania, chociaż jemu nie zależało na tym, aby dzieci robiły dobre postępy w nauce. A dzieci uczyły się rzeczywiście bardzo pilnie, bo nad tym czuwali ich rodzice. Strukat jako tłumacza zabierał ze sobą Polaczka, nauczyciela pochodzenia śląskiego ze szkoły niemieckiej. Gdy z polecenia Strukata zadawał Polaczek dzieciom pytania i używał przy tym śląskiej gwary — np. na dziewczęta mówił diochy — dzieci zaczynały się głośno śmiać. Polaczek rumienił się i przestawał pytać. Dla dzieci była to satysfakcja, za upokorzenia, których nie szczędził im niemiecki inspektor.

Wizytacje władz hitlerowskich odbywały się zawsze w atmosferze szpiclowskiej, niepoważnie, z wyraźnym wrogim stosunkiem do nauczyciela polskiego.

Rozgrywająca się między szkołą niemiecką i polską walka o każde dziecko, wpływała na niektóre dzieci demoralizująco. Trzeba było obchodzić się delikatnie nie tylko z dziećmi, ale i z rodzicami, aby ich od szkoły polskiej nie odstraszyć. Zdarzały się nieraz wypadki, że dziecko ukarane z powodu niewłaściwego zachowania z płaczem krzychało: ja pójdę do szkoły niemieckiej. Można sobie wyobrazić, jakie to wrażenie robiło na nauczycielu i jaki mogło to mieć wpływ na pozostałych uczniów. Miałem raz takie zajście: pewna dziewczynka z klasy I nie uważała podczas lekcji, stale rozmawiała ze swoją sąsiadką. Ponieważ nie reagowała na moje upomnienia, kazałem jej usiąść na innym miejscu. Na to uczennica oświadczyła głośno, że od jutra będzie chodziła do szkoły niemieckiej. Na moje czoło wystąpił zimny pot, a na pozostałych dzieciach zrobiło to ogromne wrażenie. Byłem do tego stopnia zdenerwowany, że nie umiałem już w tym dniu lekcji poprowadzić i przez resztę dnia zatrudniłem dzieci cichym zajęciem. Wieść o tym zajściu w szkole polskiej rozeszła się błyskawicznie po całej wsi. Większość rodziców ostro potępiła postępowanie złe wychowanej, rozpieszczonej przez matkę dziewczynki. Wizja utraty jednego dziecka gnębiła mnie cały dzień. Późnym wieczorem poszedłem do niesfornej dziewczyny, aby pomówić i z nią i z jej matką. Ojca dziecko już nie miało — umarł. Miałem ciężką rozprawę z matką, która żądała stanowczo, żeby dziewczynkę pozostawić na poprzednim miejscu. Tłumaczyłem, że ze względów pedagogicznych jest to niemożliwe. W przeciągu dwóch godzin udało mi się wreszcie w łagodny sposób wyperswadować, że dziecko musi pozostać na nowo wskazanym przeze mnie miejscu i że przez to krzywda mu nie stanie się. Sprawa została zażegnana. Moi współpracownicy mieli również podobne zajścia. Jedynym sposobem na uspokojenie takich dzieci było skontaktowanie się z rodzicami. Rodzice

byli na ogół rozsądni i nie pobłażali dzieciom. Po energicznym zlikwidowaniu kilku takich zajęć, żadne dziecko nie odważyło się już więcej straszyc nauczyciela szkołą niemiecką.

Zdarzały się jednak w kwestii posyłania dzieci do polskiej szkoły przejawy słabości i chwiejności u rodaków, najczęściej tych, których zgermanizowani krewni namawiali i straszili, wspierani swoiście w tych haniebnych zabiegach przez żandarmów, którzy często zaglądali na podwórza i obejścia owych rodaków i z racji najdrobniejszych przekroczeń nakładali mandaty karne. Tam, gdzie rodzice byli szczególnie chwiejni i molestowani przez krewnych-renegatów, to dobrze o tym poinformowani żandarmi — Schultz i Reck — pozwalali sobie nawet na jawną agitację za szkołą niemiecką, a to już było pogwałceniem przepisów. Toteż w takich przypadkach energicznie wkraczał Cichy i wzywał rodaków, aby żandarmów wypraszali z mieszkań lub podwórz. Cichemu, jako prezesowi Związku Polaków, wolno było taką akcją uświadamiającą prowadzić. Szczególnie często odwiedzali hitlerowcy Langego. On był pochodzenia niemieckiego, a żonę miał Polkę, z domu Tomiakównę. Wyszdzali Langego, że ulega żonie i posyła dzieci do szkoły polskiej. Nazywali go pantoflarzem, dokuczali jak mogli. Skutkiem podjudzających nagabywań i wizyt żandarmów, w rodzinie Langego zapanowało istne piekło, nieustanne kłótnie i awantury. Pewnego razu rozłoszczony ojciec, widząc, że dzieci nie respektują jego nakazów, gwałt je batem do szkoły niemieckiej. Dzieci zaś obiegly „Kalisko” — staw pośrodku wsi — i zziębnięte wpadły do klasy Zientarówny. Stara matka Langego, choć sama wywodziła się z polskiej rodziny popierała swego syna i wspólnie dokuczali matce dzieci. Lecz dzielna kobieta nie ustąpiła, nie dała zastraszyć się, mimo złego traktowania przez męża.

Hitlerowcy mieli jeszcze inne sposoby gnębienia Polaków. Żaden rzemieślnik lub inny przedsiębiorca nie przyjął do pracy absolwenta szkoły polskiej. Jeżeli zaś mimo zakazu, wiedząc o tym, że Polacy są dobrymi pracownikami, zatrudnił absolwenta polskiej szkoły, to powiadomieni o tym hitlerowcy żądali natychmiastowego zwolnienia polskiego pracownika. W takich czasach, było więc niebywałym wydarzeniem, kiedy udało się dwóm dzielnym bojownikom o polskość Franciszkowi Reimanowi i Stanisławowi Obstowi wykupić piekarnię z rąk niemieckich. Gdy jednak syn Reimana, chciał uczyć się zawodu piekarza żaden majster w okolicy nie chciał go przyjąć, gdy obejrzał szkolne polskie świadectwo. Jakimś podstępem udało się mu — zdaje się w Berlinie — wyuczyć tego zawodu. Obecnie jest po ojcu piekarzem w Nowym Kramsku. Tego rodzaju szyskany bardzo niepokoiły i wzburzały kramszczan. Stało się tak, jak hitlerowscy nauczyciele przepowiadali — start życiowy absolwenta polskiej szkoły był bardzo trudny. Tylko nie dlatego, że jego wykształcenie było słabe, a z tego powodu, że wrogie przepisy — najczęściej poufne — stwarzały wyjątkowo niekorzystne okoliczności. A dużo było takich, którzy chcieli wyuczyć się rozmaitych zawodów: murarza, stolarza, cieśli. Stosunkowo skutecznym, jednym ze sposobów zażegnania tego zła mogło być zostosowanie odwetu w kraju wobec mniejszości niemieckiej. Natomiast po zawarciu paktu Hitlera z Piłsudskim, w kraju ustosunkowano się do Niemców bardzo lo-

jalnie. W tym samym czasie, kiedy na terenie Rzeszy Polak miał znikome szanse na zdobycie zawodu, w kraju niemieccy uczniowie uczyli się gdzie tylko chcieli i czego tylko chcieli. Ba, przy egzaminie na majstra pytano nawet po niemiecku, gdy egzamin w języku polskim sprawiał kandydatowi trudności — jak mi to opowiadał pewien poznański majster, który należał do komisji egzaminacyjnej.

W tym właśnie okresie, kiedy takie nowe, bolesne doświadczenia zaczęły być udziałem rodaków, przyjechał do Cichego polski konsul z Pily. Cichy przysłał po mnie na konferencję. W toku rozmowy konsul stwierdził, że po podpisaniu paktu, stosunki między państwami układają się pomysłniej oraz że i my napewno też doskonale odczuwamy to w trakcie swej pracy. Cichy zaś oświadczył, że skutkiem paktu warunki życia rodaków wcale nie poprawiły się. Ja zaś orzekłem, że jest jeszcze gorzej, na dowód czego przytoczyłem fakty nieprzyjęcia absolwentów szkoły ani do pracy, ani w naukę. Na to odparł konsul, że to jest bagatela (!?) i że ogólnie rzecz biorąc, jest lepiej. Uznałem, że wobec takiego rozpatrywania naszych bolączek dalszy mój udział w rozmowie jest bezcelowy i wyszedłem.

Często przybywali z Polski rozmaici delegaci, ale naszej sprawie rzadko kiedy przysłużyli się. Tak też, krótko po wizycie konsula przyjechał znów jakiś delegat do Babimostu i zaprosił polskich nauczycieli na konferencję. Korzystając z okazji poinformowaliśmy go o tym, jaką straszną politykę stosują hitlerowcy wobec rodaków, że tym sposobem mogą zniweczyć nasze wysiłki. Wówczas otrzymaliśmy dosłownie taką odpowiedź: „Trzeba żłobić, żłobić, to jednak coś się wyżłobi”. Trudno wprost dobrać słów na określenie naszego osłupienia i tego, jak bardzo nas tego rodzaju wypowiedzi „krzepiły”. Nasze władze w kraju wołały hołdować polityce strusia, głowę wsadziły w piasek, nie troszcząc się o to, że rodakom w Niemczech grunt spod nóg usuwa się, że szkolnictwo polskie może przestać egzystować, skutkiem ciosów w egzystencję ludzi którym nie pozwalano zarobić na chleb. Renegaci z satysfakcją dogadywali: widzicie, oto co wam dała polska szkoła. Byli tacy, którzy zaczęli złorzeczyć na tę polską szkołę. Przeciwdziałaliśmy temu, umacnialiśmy chwiejnych. Jednak trzeba było to robić ostrożnie, gdyż za taką działalność agitacyjną, mógł nauczyciel natychmiast zostać wydalony do kraju. Podziwu godne jest jednak, że ogół Polaków zniósł te szykany spokojnie i mocno stał przy szkole polskiej. Niektóre reakcje rodaków były wprost rozczulające. Gdy odwiedziłem pewnego razu Nowaka — robotnika, to on tak się wyraził: „Panie kierowniku, damy sobie radę — to gorzej zje się, zupkę z kapałki (serwatki) i perki, ale jakoś pójdzie” — i serdecznie mnie pocieszał. Rodacy — a szczególnie narażeni na godzące w egzystencję represje, robotnicy polscy, potrafili rzeczywiście sobie radzić i jakoś na chleb zarobić. Wcześniej rano wyjeżdżali na rowerach do lasu na grzyby — kurki. Wracali koło godziny 10 i sprzedawali grzyby kupcowi, który codziennie przyjeżdżał autem ciężarowym i wysyłał kurki do Berlina. Z niektórych rodzin jeździło na grzyby po kilka osób i niezłe zarabiali — po 5 do 7 marek od osoby. Tak oto rodacy dawali sobie radę. Mimo szykan hitlerowców szkole polskiej nie ubyło ani jedno dziecko.

W jaki sposób odbywały się wizytacje niemieckich przełożonych już pokrótce opisałem. Nie robiło dobrego wrażenia, gdy niemiecki inspektor szkolny skakał po ławkach i odgrywał detektywa, nie troszcząc się o prawdziwe postępy w nauce. Zupełnie inaczej odbywała się wizytacja przez polskiego przełożonego Maksymiliana Brassego ze Związku Polskich Towarzystw Szkolnych z Berlina. Nie przyjeżdżał tak często jak Niemcy, a tylko dwa razy do roku. Jedna z tych corocznych wizytacji była bardzo gruntowna i trwała dwa dni. Wizytator badał wówczas wszystko dokładnie, poziom uczniów we wszystkich przedmiotach, zeszyty i akta szkolne. Nic nie uszło jego uwadze. Był to doświadczony praktyk. Jaka ogromna była różnica między niemieckim a polskim wizytatorem. Pierwszy wpadał do klasy jak szpieg, wróg, dzieci były przestraszone. Gdy zaś wszedł do klasy polski wizytator, dzieci pozdrowiały go z uśmiechniętymi twarzami. Cieszyły się, że przyjechał przyjaciel. W toku wizytacji dzieci dobrze odpowiadały na zadawane pytania, z czego Brasse był bardzo zadowolony. Gdy odchodził, dzieci wołały: „Niech Pan znowu przyjedzie”. Po odbytej wizytacji następowala konferencja z każdym nauczycielem z osobna. Wizytator nie szczędził pochwały, gdy na nią nauczyciel zasłużył, ale nie pominął milczeniem żadnego błędu lub niedociągnięcia, które zauważył. Był doświadczonym, wybitnym pedagogiem. Interesował się wszystkim, nawet ogródkiem szkolnym.

Tak, szkoła urządziła u Wincentego Adama ogródek szkolny. Celem ogródka szkolnego było zainteresowanie i zapoznanie dzieci, a przez nie rodziców z warzywnictwem. Mieszkańcy Nowego Kramaska, z małymi wyjątkami nie doceniali wartości odżywczej jarzyn. Znano właściwie tylko sałatę, kapustę i ogórki. Prawie nikt nie hodował pomidorów, kalarepy, kalafiorów ani włoszczyzny. Dzieci wyszydzały, że marchew jest dobra dla gęsi. Pod tym względem było tam wielkie zacofanie. Skutek takiego nastawienia był jednak bardzo niekorzystny dla zdrowia. Odżywianie było jednostajne, nieurozmaiczone, ubogie w witaminy. Wygląd dzieci był na ogół mizerny. Były też łatwo podatne na choroby. Ogródkiem szkolnym bardzo naszych uczniów zainteresowaliśmy. Przez odpowiednie wykłady na zebraniach pouczano dzieci i rodziców o znaczeniu warzyw dla organizmu. Nauczycielka na zajęciach praktycznych instruowała dziewczęta, jak należy przyrządzać warzywa, aby organizm mógł osiągnąć jak najwięcej korzyści. Dziewczęta klasy I pilnie pielegnowały roślinki i wyhodowały liczne okazy warzyw. W niedzielę po południu zwiedzali ogródek niektórzy rodzice i podziwiali wyhodowane warzywa. Zainteresowanie warzywnictwem rosło. Większość dzieci urządziła następnie u siebie ogródki warzywne. Uczniowie zapraszali mnie, abym przychodził oceniać ich samodzielną pracę. Chętnie to czyniłem. Już dzieci nie wyśmiewały się, że marchew daje się tylko gęsiom. Same ucierały sobie karotki, a pomidory przynosiły nawet do szkoły i zjadały na śniadanie z chlebem. A więc znowu cel został osiągnięty. Na tym tle wydarzyło się też coś bardzo ciekawego. Jeden z kramszczan — Nowak, nie mając do dyspozycji odpowiedniego kawałka ziemi, urządził na swoim ciasnym podwórzu pod oknami „wiszący ogródek”. Na słupkach poustawiał skrzyneczki, napełnił je ziemią i tam uprawiał swoje

jarzyny. O dzwio, wyhodował tyle najważniejszych warzyw — sałaty, ogórków, fasoli, włoszczyzny itp., ile potrzebował w swoim skromnym gospodarstwie domowym.

Zaraz na początku mej działalności na terenie Nowego Kramsku robiłem starania, żeby uruchomić przedszkole. Chodziło o to, żeby jak najwięcej dzieci w wieku od lat 3 do 6 pozyskać dla przedszkola, aby w ten sposób zapewnić i przygotować narybek dla szkoły. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie chętnie wyznaczył potrzebne fundusze na wyposażenie przedszkola. Wielkie miałem trudności w wynalezieniu odpowiedniego lokalu z boiskiem, który nadawałby się do tego celu. Po długich namowach doszliśmy do porozumienia z Krawcową i oddała nam dwie izby na przedszkole. Przeprowadzono remont i odmalowano ślicznie obie izby. Ustawiono stosowne mebelki — stoliki, taboreciki, założono piaskownicę. Władze niemieckie nie mogły wynaleźć żadnych braków i z ciężkim sercem musiały zgodzić się na otwarcie przedszkola. Żandarmi często nachodzili Krawcową i starali się ją nakłonić do tego, żeby nam izb nie wydzierżawiała. Gdy jednak to im nie udało się — gnębili ją nakładaniem mandatów. Ale przedszkole egzystowało i spełniało ważną rolę. Pierwszą przedszkolanką była Olejniczakówna z Westfalii. Po roku przeniesiono ją na Warmię, a na jej miejsce przyszła Wesołowska, również z Westfalii, a później Leśniorowska. Przedszkolanki Wesołowska i Leśniorowska pracowały z dobrymi wynikami ku wielkiemu zadowoleniu rodziców. Na początek przyjęto około 60 dzieci. Wściekłość brała miejscowych hitlerowców, szczególnie kierownika szkoły niemieckiej Englera. Chcąc nie chcąc, musieli i oni przystąpić do zorganizowania konkurencyjnego przedszkola. W ogóle Niemcy często naśladowali nasze poczynania, aby nie stracić dzieci. Np. założyli też swój ogródek szkolny.

Przedszkole było moim oczkiem w głowie, źródłem wytchnienia i radości. Codziennie, choć tylko na kilka chwil odwiedzałem milusińskich. Przyjmowały mnie zawsze z wielką radością. Serce radowało się, gdy patrzyłem na dzieci czyste, schludne, siedzące na ładnych taborecikach przy ślicznych stolikach. Co za piękny widok skupionych twarzyczek i zapracowanych paluszków, które pilnie malowały kredkami, wycinały z papieru różne zabawki, lepily z plasteliny itd. Trzeba było podziwiać jak ładnie deklamowały wierszyki i śpiewały piosenki. Wizyta w przedszkolu zawsze wprawiała mnie w pogodny nastrój, wolny od trosk i kłopotów. Nieraz i ks. proboszcz Papack zaglądał do polskiego przedszkola.

Budziliśmy ducha narodowego i krzepiliśmy go wszelkimi sposobami. Jak już wspomniałem, nie zawsze znajdowaliśmy zrozumienie u naszych władz w kraju. Na naszej drodze wyrastały inne jeszcze ciernie. Jak wiadomo — Nowe Kramsko było położone zaledwie parę kilometrów od granicy polskiej. Toteż często wyjeżdżali rodacy do Polski w odwiedziny do krewnych i na odwrót — krewni przyjeżdżali z wizytami do nich. Kontakt ten był bardzo żywy. Muszę przyznać, że kontakt ten więcej naszej sprawie szkodził niż jej przynosił pożytku. Od swych krewnych nie słyszeli kramszczenie nic pocieszającego, wręcz przeciwnie, dowiadywali się, że w Polsce jest duże bezrobocie, bieda, natomiast nierzadko krewni podzi-

wiali Hitlera za to, że wszystkim obywatelom dał pracę. Tego rodzaju wieści z kraju, chętnie podchwytywane, szerzone i wyolbrzymiane przez renegeatów w szczególny sposób szkodziły naszej sprawie, budziły zwątpienie, a ducha narodowego wcale nie umacniały. Na domiar złego zdarzyło się coś naprawdę niemiłego. Obywatele Nowego Kramaska składali częściowo swoje oszczędności w Banku Ludowym w Zbąszyniu. Otóż Bank ten zbankrutował wskutek niewłaściwej gospodarki. Rodacy nie tylko potracili swoje wkłady, ale mieli jeszcze wziąć udział w pokrywaniu strat. Powstała wielka wrzawa, wyzwiska, przekleństwa. Na szczęście ogół naszych rodaków nie zachwiał się w swej gorącej miłości do ojczyzny.

Co roku wysyłaliśmy na kolonie do Polski dzieci, aby poznały kraj, umiłowaly go z całego serca. Łącznie z dziećmi ze Starego Kramaska, Podmokli Małych i Wielkich, oraz Dąbrówki Wielkiej wyjeżdżało co roku ok. 80 dzieci. W związku z tym trzeba było czynić mnóstwo przygotowań i dopełniać szeregu formalności. Dzieci musiały być zbadane przez powiatowego lekarza. Duże trudności trzeba było pokonać nim uzyskało się zbiorowe wizum. Z udzieleniem paszportu władze hitlerowskie zwlekały nieraz do ostatniej chwili.

Jednego razu zaryzykowałem i wyjechałem z dziećmi bez paszportu zbiorowego. Plan działania był dokładnie obmyślony. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych otrzymał paszport w przeddzień wyjazdu dzieci i natychmiast wysłał go ekspresem. Umówiony goniec czatował na listonosza już na dworcu w Kolesinie, podjął od niego kopertę i całym pędem gnał na motocyklu do Zbąszynka. Gdy już wszystkie dzieci z ośrodka babimojskiego były na stacji w Zbąszynku wpadł jak wicher goniec. Zdążył. Do odjazdu pociągu pozostało 10 minut. Wreszcie uspokoiłem się. Otrzymałem ostatni, potrzebny mi dokument. Po niedługiej chwili byliśmy już na stacji w Zbąszyniu. Dzieci cieszyły się, że przyjechały do Polski. W Zbąszyniu na dworcu zostały uroczystie przyjęte przez delegata Polskiego Związku Zachodniego i przez delegację szkół zbąszczyńskich. Po około godzinnej przerwie wyruszyłem z całym transportem w dalszą drogę do Poznania. Tutaj na dworcu, znów dzieci zostały uroczystie powitane przez delegatów Polskiego Związku Zachodniego. Zwykle orkiestra grała hymn państwowy. Na stacji otrzymały dzieci obiad, potem wyruszyły w dalszą drogę, już teraz chłopcy i dziewczęta oddzielnie, pod kuratelą specjalnych wychowawców, zaangażowanych przez Polski Związek Zachodni. Pod ich opieką pozostawały dzieci przez cały czas pobytu na koloniach.

Między innymi byli nasi uczniowie na koloniach w Rogoźnie, Śremie, Inowrocławiu, na Podkarpaciu itd. Na ogół wracały dzieci dobrze wypoczęte, zadowolone. Ale zdarzały się, choć rzadko — również i poważne niedociągnięcia. Było to w Rogoźnie. Gdy zupełnie niespodzianie zjawiłem się tam, aby kolonię skontrolować, chłopcy jedli na kolację: zupkę i suchy chleb, wydzielony po jednej kromce. Na pytanie czy życzyli by sobie więcej chleba, odpowiedzieli, że tak. Szybko poszedłem do kuchni i narobiłem piekła, że dzieciom polskim z Niemiec skąpi się nawet suchego chleba. Nie omieszkałem oczywiście donieść o tym władzom Polskiego Związku Zachodniego. Stwierdzono, że gospodyni dorobiła się na kolonii

kosztem dzieci ładnej sumki. Po mojej interwencji dzieci otrzymywały już właściwe wyżywienie. W Inowrocławiu popełniono również osobliwą niedorzeczność. Nasze dzieci chodziły do kąpeli w solankach. Kazano im się kąpać po dwie dziewczynki w jednej wannie, razem z dziećmi jakiegoś krajowego turnusu. Skutek był ten, że większość dziewczynek zaraziła się i wróciła do domu ze świerzbem. W innym wypadku kilka dziewczynek wróciło zawszonych. Była to smutna reklama naszych kolonii. Znow przeżywałem upokorzenie i wstyd. Ambitni rodacy zachowywali te brudne wydarzenia w tajemnicy i w przeciągu niewielu dni doprowadzili dzieci do porządku.

Na koloniach prowadziły dzieci unormowany ściśle tryb życia: gimnastyka, śpiew, wycieczki, pogadanki, wycieczki itp. Wyżywienie było na ogół bardzo dobre. Charakterystyczne było, że początkowo wychowawczynie skarżyły się wobec mnie na to, że dzieci nie chcą jeść warzyw. Było to tylko potwierdzeniem spostrzeżeń, poczynionych przeze mnie na miejscu. Ale przeprowadzona przez nas akcja oświatowa na zebraniach i ogródek szkolny — ten stan w następnych latach zupełnie odmieniły. Kolonie mimo tych czy innych usterek cel swój osiągały. Dzieci poznawały piękno kraju ojczystego i przywoziły ze sobą bogactwo wrażeń i wspomnień na całe życie.

Innym przeżyciem na wielką skalę, nie tylko dla dziatwy szkolnej, ale i dla rodziców była coroczna zabawa szkolna. Brali w niej udział wszyscy rodacy mali i dorośli z Nowego Kramska, ze Starego Kramska, okolicznych wsi, nawet goście zaproszeni z Polski. Nie brakowało też nigdy nikogo z nauczycieli, pracujących w okręgu babimojskim. Uroczystość ta stanowiła ukoronowanie całorocznej pracy szkolnej. Część artystyczna była przeglądem efektów tej pracy. Przez kilka miesięcy ćwiczono w szkole na lekcjach wychowania fizycznego różne gry i zabawy, popisy i tańce. Jaskólski przygotował z chórem szkolnym rozmaite pieśni. Nauczycielki wyuczały pięknych deklamacji. I małe przedszkolaki usilnie pracowały przez długie tygodnie pod kierunkiem swej wychowawczynie, aby przy okazji tej uroczystości zademonstrować zdobyte umiejętności. W ciągu wielu długich wieczorów szyły matki pod kierunkiem pełnych poświęcenia nauczycielek kostiumy dla dziewcząt. Co za bogactwo pomysłów. Ile piękna wyczarowały pracowite, ofiarne umysły i ręce. Wszystkie te, obfitujące w liczne zajęcia, przygotowania, były typową radosną i powszechną twórczością pod wytrwałym kierownictwem oddanej grupy organizatorów. Nie było człowieka w Nowym Kramsku, który by swej ręki nie przyłożył do uświetnienia tego dnia. Niektórzy w działaniu nieomal, że się dwoili i troili. Nic dziwnego. Nie była to bowiem zwykła zabawa. To była publiczna manifestacja polskości. Nieocenione usługi oddawała nam Agnieszka Wachowska. Wspólnie z innymi matkami piekła stopy placzków dla dzieci. Już kilka dni naprzód zamawiano u rzeźnika odpowiednią ilość kiełbasek, u piekarza bułeczek, słodczy, lodów. Wszystko było w najdrobniejszych szczegółach rozpracowane. Zabawy odbywały się w ogrodzie u Wincentego Adama, na zapłociu u Stanisława Obsta, w ogrodzie Jana Cichego lub też na boisku szkolnym — zawsze w niedzielę po południu. Toteż wieczorem dnia po-



przedniego i z rana w dniu zabawy krzatali się niestrudzenie Cichy i Obst z młodzieżą. Trzeba było podziwiać jak chętnie przy tym pracowali i ile pomysłowości przy tym wykazywali. Razu pewnego, dla ozdoby, wkopano w plac brzoźki, o które postarał się Obst. W ten sposób przez noc wyrósł na boisku malowniczy gaik. Innym razem, gdy zabawa odbywała się w ogrodzie, wszędzie zawieszono łuki girland, ozdobione chorągiewkami i lampionami. Cichy zbudował raz nawet karuzelę ze starego koła od wozu, z którego wielką uciechę miały dzieci. Wreszcie przygotowania dobiegały końca, nadeszło niedzielne popołudnie, wszystkich ogarniało radosne podniecenie. Na godzinę 15 wyznaczona była zbiórka dzieci szkolnych i przedszkolnych przed domem Jana Krawca. Na wsi wtedy panował wielki ruch. Ze wszystkich stron wysypywały się dzieci wraz z rodzicami i starszym rodzeństwem. Przychodzili na plac zbiórki uradowani, uśmiechnięci, odświętnie wystrojeni, niektórzy oryginalnie poprzebierani. Na miejscu zbiórki formował się pochód. Ulice, którymi miał się przesuwać były przystrojone girlandami, chorągiewkami i kwiatami. Na czele pochodu szła amatorska orkiestra, potem dzieci przedszkolne, młodzież żeńska i męska, na końcu rodzice i goście. Radosne były to szeregi, maszerujące w takt wesołej melodii. Po przyjsciu na każdorazowo pomysłowo przygotowany plac wszyscy rozchodzili się, ale już po niedługiej chwili zwoływano dzieci, aby je uczestować kawą i plackiem. I oto punkt po punkcie, według dokładnie opracowanego programu, przed oczyma zgromadzonych rozwijały się na placu — w różnych jego częściach — gry, zabawy, wyścigi, tańce, korowody, wszystko doskonale wyćwiczone. Serca rodziców rozpieęła duma, że te ich dzieci tak wszystko umieją. Doprawdy nie wiadomo było, ku czemu najpierw oczy obrócić. W podziw wprawiały występy chóru szkolnego pod kierunkiem Jaskólskiego. Dla urozmaicenia zaśpiewał też chór dorosłych — także pod batutą Jaskólskiego. Były piękne deklamacje, znakomicie wyreżyserowane przez nauczycielki. Te punkty programu działały sugestyjniej niż popisy sprawności fizycznej. Ich treść starannie dobierana, przemawiała do polskich serc i umysłów. I tak na całym boisku stale coś działo się i to w skoordynowanym porządku. Występował też zastęp harcerski pod przewodnictwem Bogdana Kowalskiego. Uroczysty był moment, kiedy zaproszony, zapalał ognisko harcerskie, ale to już o szarej godzinie. Przed wieczorem dzieci otrzymywały kolację — gorące kielbaski z bułką, a w czasie pracowitego popołudnia były jeszcze lody i inne łakocie. Gdy wieczór zaczął się zbliżać, znów uformował się pochód. Wszyscy zmęczeni, ale zadowoleni wyruszyli z powrotem przed dom Krawca. Tam po krótkim przemówieniu i podziękowaniu wszystkim, którzy przyczynili się do przygotowania i uświetnienia zabawy, pochód zostawał rozwiązany. Wracaliśmy do domów pełni wrażeń, a w późniejszych godzinach odbywała się zabawa taneczna dla rodziców na sali Juliusza Klemta. W ostatnich latach mej działalności w Nowym Kramsku, władze hitlerowskie nie pozwalały już nam urządzać pochodu przez wieś.

Staraliśmy się wszystkim stwarzać możliwości do wspólnych przeżyć. Nie zapominaliśmy o najmłodszych. Przedszkolaki miały uroczystość przygotowaną wyłącznie dla nich. Była to wizyta św. Mikołaja, który przejeź-

dział przez wieś na drabiniastym wozie, w tradycyjnym stroju. Nawet do-  
rośli mieli z tego uciechę. Gdy Mikołaj schodził z wozu i dźwigając ogrom-  
ny wór wkraczał między dzieci, to do maleńkich serduszek zakradał się  
lęk, rozlegał się pisk, krzyk, płacz. Dzieci tuliły się do przedszkolanki, do  
mnie. Ale po jego dobrotliwym przemówieniu coraz mniej bojaźliwie, popi-  
sywały się deklamacjami i śpiewami. Gdy św. Mikołaj zaczął z worka wy-  
dobywać torebki z łakociami i obdarowywać każde dziecko — atmosfera  
niepewności i lęku zniknęła bez śladu. Wszystkie buźki uśmiechały się. A św.  
Mikołaj znów wsiadał na swój drabiniasty wóz i odjeżdżał poprzez wieś.

Rzewna i swojska była uroczystość gwiazdkowa. Przygotowania do niej  
rozpoczynano już po wakacjach jesiennych — takie były w Niemczech.  
Kapałówna, później Zientarówna, ćwiczyły Jasełki, deklamacje, a Jaskólski  
— kolędy na głosy. Nawet przedszkolaki przygotowywały swój program —  
pieśni i wierszyki. Ale maluchy miały swoją „gwiazdkę” oddzielnie, w tym  
samym dniu, tylko trochę wcześniej. Nauczycielki dawały dowody niezwy-  
kłych umiejętności i artystycznego smaku w opracowaniu przedstawienia,  
kostiumów, szopki, wystroju choinki. Ta uroczystość, jak wszystkie inne,  
chłonęła zawsze mnóstwo pracy, tak ze strony organizatorów jak i wyko-  
nawców. Ale znów rodacy spragnieni polskiego słowa i śpiewu mieli piękną  
okazję sycić swego ducha. Salę i scenę u Klemta dekorowano ga-  
łązkami świerkowymi. Obok sceny pyszniła się bogactwem ręcznie wyko-  
nanych ozdób choinka. Nastrój podniosły. Sala zapełniona do ostatniego  
miejsca a ci co nie mogli się wepchnąć do środka stali na schodach.  
Krótko zagajalem uroczystość. W programie było dzielenie się opłatkiem  
i wzajemne życzenia, Jasełka, występy chóru. Wszystko doskonale wy-  
ćwiczone, w fachowej artystycznej oprawie, dawało widzom satysfakcję.  
Każde dziecko otrzymywało od gwiazdora paczuszkę z łakociami i prezen-  
cik. Niekiedy były to zakupione przez mnie w Zielonej Górze szaliki, chu-  
steczki, sweterki itp. Pracowite ręce matek zawsze wypiekały „furę” pier-  
ników, czasem szyły nawet fartuszki i koszulki, a potem przez wiele wieczo-  
rów przygotowywały paczuszki w mieszkaniu u Agnieszki Wachowskiej. Na  
zakończeniu uroczystości wspólnie śpiewaliśmy kolędy i pod przemożnym  
urokiem, wszyscy nasyceni nowymi wrażeniami wracaliśmy do domów.  
W ostatnich latach mej działalności władze hitlerowskie ograniczały nam  
swobodę wyboru godziny rozpoczęcia uroczystości gwiazdkowej. Dla ogółu  
rodaków najdogodniejsze były późne godziny. Tymczasem kazano nam ca-  
łą uroczystość kończyć już o godzinie 18.

Zakończenie roku szkolnego gromadziło znów na sali szkolnej uczniów,  
rodziców i nauczycieli. Jak zwykle zagajalem słowem wstępnym, po czym  
następował wzruszający moment wręczenia świadectw ukończenia szkoły.  
Tradycyjnym punktem programu była — jak zwykle — udana część arty-  
styczna.

Rodacy mieli też okazję w szkolnej bibliotece zaspokajać głód polskie-  
go słowa. Była ona nieźle zaopatrzona przez Związek Polskich Towarzystw  
Szkolnych. Pamiętam, jak przyjemna była dla nas przesyłka książek bele-  
trystycznych od Wiesława Sautera, dyrektora gimnazjum w Międzychodzie.  
Sauter następnie odwiedził nas w Nowym Kramsku i wygłosił piękny wy-

kład dotyczący — o ile mnie pamięć nie zawodzi — wkładu polskiej kultury w kulturę ogólnoswiatową. Był tak ujęty serdecznością przyjęcia, jakie mu zgotowali kramszczone, że dał temu wyraz, przekazując nam nową partię książek m. in. Sienkiewicza i Rodziewiczówny, które wzbogaciły nasz księgozbiór. Biblioteka miała ściśle wyznaczone dni i godziny dyżuru. Każdy mógł znaleźć dla siebie coś, co odpowiadało jego zainteresowaniom. Zasluguje na podkreślenie, że rodacy bardzo pilnie i chciwie czytali. Książki stałe były w obiegu.

Za czasów mej działalności raz jeden odbyła się śliczna impreza zakrojona na wielką skalę. Był to zorganizowany latem w 1932 r. „dzień pieśni”, w którym udział brały wszystkie polskie chóry młodzieżowe rozsiane na Babimojszczyźnie i w Międzyrzeczkim. Na miejsce spotkania wyznaczono Podmokle Małe. Interesowały się tym zjazdem nasze władze w Berlinie i w zastępstwie posła Baczewskiego przybył dr Michałek. Gościliśmy też wizytatorów szkół polskich Brassego i Mozolewskiego. Rodacy z Nowego Kramaska wystąpili z całą okazałością. Było to w dużej mierze zasługą rolników, którzy dostarczyli 22 wozów drabiniastych pięknie przystrojonych. Niezapomniane to wrażenie, gdy sznur umajonych wozów sunął z fantazją, wioząc rozradowane dzieci, młodzież i dorosłych. Reszta mieszkańców wsi wyległa na ulice, by podziwiać wesoły korowód. Gdy tak wjechaliśmy do Podmokli Małych, witano nas oklaskami i okrzykami. Brawa bili nam też goście z Berlina. Festyn odbywał się w dużym ogrodzie jednego z gospodarzy i zgromadził liczną rzeszę rodaków, przybyłych ze wszystkich stron. Na pobudowanej specjalnie estradzie poszczególne chóry występowały według z góry ustalonego porządku. Na koniec zaśpiewał połączony chór wszystkich szkół. Nasz chór szkolny, w ciągu długich i mozolnych godzin przygotował do występu Jaskólski. On też dyrygował śpiewem połączonych chórów. Celem tej imprezy było ukazanie rodakom niezmiernego bogactwa skarbnicy pieśni polskiej i rozmiłowanie dziatwy i dorosłych w śpiewie. Cel ten został w pełni osiągnięty. Po tym festynie sznur kramskich umajonych wozów ruszył w drogę powrotną. Wybraliśmy trasę przez Babimost, aby mieszkańcy miasteczka mogli podziwiać wesołą wycieczkę szkoły polskiej z Nowego Kramaska i aby choć trochę naszą radością poirytować wrogie czynniki.

Innego roku odbyła się podobna, równie imponująca impreza w Dąbrówce Wielkiej. Różniła się tylko tym, że wykonawcami byli dorośli. Dla rodaków była znów okazja do satysfakcji i dumy — dla wrogów okazja do niezadowolenia.

Z chęci zaimponowania i poirytowania wroga brały się niekiedy epizody, zawierające w sobie odrobinę komizmu. W czerwcu 1931 r. nadarzyła się świetna okazja do zamanifestowania polskości. Było to w związku z wizytacją kościelną prałata dr. Hartza z Pily. Już kilka tygodni naprzód organizował Stanisław Obst — były ułan — banderę konną na przyjęcie prałata, który pełnił funkcję biskupa na pograniczu. Obst zwerbował około 20 jeźdźców. Niemcy i renegaci, nie chcąc być zdystansowani, zakrzętnęli się wokół własnej banderii. Rozpoczęły się ćwiczenia jazdy. Obst, jako fachowiec dobrze przygotował swoich jeźdźców. W dniu przyjazdu prałata

obie banderie wyczekiwały go na granicy parafii. Po powitaniach — ze strony rodaków oczywiście w języku polskim, pochód ruszył do wsi. Na czele banderia niemiecka — około 12 jeźdźców, bliżej dostojnego gościa banderia polska, przybrana w narodowe barwy. We wsi na skrawie szosy do Babimostu ustawiono i udekorowano bramę triumfalną, a wzdłuż ulicy zajęli miejsca mieszkańcy. I oto zjawiają się jeźdźcy — banderia niemiecka. Reszty nie było jeszcze widać. Powstały wśród rodaków ciche szepty i uśmiechy. Otóż okazało się, że Obst umyślnie zwolnił tempa, czego tamci nie zauważyli i szybką jazdą znacznie oddalili się. Między banderią niemiecką a naszą powstał duży odstęp. W ten sposób odnosiło się wrażenie, że to dopiero nasi przyprowadzili dostojnika kościelnego. Wjechali w doskonałym szyku. Gdy pojawili się, na twarzach rodaków ukazały się wesole uśmiechy. Przed bramą triumfalną samochód przystanął i wysiedli księża, których znów witano po polsku. W czasie tego powitania wydarzyła się kolejna zabawna scena. Obst zбочył ze swoją banderią na drogę wokół „Kaliska” i szybko galopem podążył przed kościół, aby tam ustawić się w korzystnym miejscu. Nim Niemcy zorientowali się i puścili w pościg, było już za późno. Nasza banderia stała przed bramą na cmentarz kościelny. Tymczasem pochód ruszył ze śpiewem: „Kto się w opiekę”. Gdy zbliżył się do kościoła, Obst wydał komendę: „Baczność, w lewo patrz”, a jeźdźcy niemieccy po hitlerowsku podnieśli ramiona w górę, a że był to jeszcze 1931 r. dowcipniś pewien głośno komentował ten sposób pozdrowienia malarza Hitlera: „Bis hierher die Olfarbe” (dotąd farbą olejną). Pod koniec wizytacji proboszcz zarządził śpiewy — najpierw miano zaśpiewać po polsku. Więc Cichy zaintonował z rodakami: „Po górach, dolinach...” Śpiewali, śpiewali i końca tej pieśni nie było. Wtedy zbliżył się do mnie proboszcz i zapytał ile zwrotek ma ta pieśń. Odpowiedziałem, że trzydzięci. Roześmiał się i poprosił, abym powiedział Cichemu, żeby przerwał śpiew, bo dla miłej zgody i „tamci” powinni zaśpiewać. Tak wykorzystywano każdą okazję, by zadokumentować polskość Nowego Kramska.

Praca wśród rodaków była wielostronna. My nauczyciele byliśmy sprężyną wszelkiego działania. Toteż hitlerowcy mieli nas stale na oku i czekali, aby nas sprowokować i pochwycić na choćby najdrobniejszym przekroczeniu przepisów. Każde takie przestępstwo mogło być podstawą — co najmniej — wydalenia do kraju. Swego czasu hitlerowcy wydali zarządzenie, wprowadzające w życie obowiązek pozdrawiania się przez wzniesienie ręki z równoczesnym „Heil Hitler”. Dotyczyło to obywateli niemieckich. Któregoś dnia jechała Kapałówna do Starego Kramska, aby tam poprowadzić lekcję robótek. Towarzyszył jej Jaskólski. Jechali rowerami, rozmawiając między sobą. Minęła ich gromadka niemieckich dzieci i — jak to często działo się — prowokacyjnie zaczęły ich hitlerowskimi pozdrowieniami. Nie zwrócili na to najmniejszej uwagi. Po niedługim czasie wezwano Kapałównę i Jaskólskiego do sądu w Kargowej. Nikt nie znał przyczyny tego pozwu, toteż zdenerwowanie było duże. W toku przesłuchania zorientowali się, że oskarżono ich, iż śmiali się w odpowiedzi na hitlerowskie pozdrowienie, na co Jaskólski wyjaśnił sądowi jak błędnie dzieci pojmują rolę tego pozdrowienia i dodał, że zamiast obwiniać polskich oby-

wateli, należałoby właściwiej dzieci poinstruować, żeby tego pozdrowienia nie używały dla żartów. Sprawa zakończyła się szczęśliwie, nauczycieli zwolniono do domu.

Innym razem pojawiła się na terenie Nowego i Starego Kramaska pewna osoba — przystojny mężczyzna, mówiący doskonałą polszczyzną — specjalista od reperacji maszyn do szycia. Bajeczna specjalność — mógł nos wsunąć do każdego domu. Tak też było istotnie, bo roboty znalazł dość dużo. A przy naprawach było wiele okazji do rozmów. Toteż wypytywał o różne sprawy, szczególnie o osoby politycznie zaangażowane np. o Teodora Spiralskiego, Jana Cichego, o każdego z nas. Gdy o tym dowiedziałem się zacząłem go starannie obserwować. Wobec rodaków udawał Polaka, ale często widziałem go wieczorem, idącego do żandarmów, szczególnie do Schultza. Poinformowałem o moim spostrzeżeniu Cichego, Obsta, Fabisia i Wachowską. Przyglądaliśmy się mu dalej bacznie i upominaliśmy rodaków, żeby wobec niego byli ostrożni. Tak złożyło się, że mieliśmy wówczas zabawę na sali u Klemta. Przyszedł też ów majster. Tańczył, bawił się, chodził koło nas nauczycieli — najpierw z daleka, aż wreszcie przybliżył się. Przedstawiając się, że jest z Berlina, powiedział, że zna posła Baczewskiego. Zagadywał jak umiał, ale nie trafił na naiwnych. Następnego dnia oglądał naszą szkolną maszynę do szycia. Potem przybył do mego mieszkania. Oświadczył mi, że trzeba by w niej to i owo naprawić, założyć nowe czółenka. Pokazywał mi różne czółenka i nagle odbiegł od tematu i poufnie powiedział: „W Starym Kramsku już znowu kogoś aresztowali”. Ponieważ już dobrze wiedziałem co sądzić o tym człowieku, więc podniesionym głosem rzekłem: „Co to ma wspólnego z czółenką do maszyny? — przecież ja nie pytałem pana czy kogoś aresztowano”. Zarumienił się i szybko wyszedł.

Hitlerowcy uciekali się też do mniej „subtelnych sposobów” zdobywania wiadomości o ludziach. Do tych sposobów należały rewizje. Liczyłem się z taką ewentualnością. Toteż byłem bardzo ostrożny. Wszelkie pisma niebezpieczne załatwiałem od ręki, względnie natychmiast paliłem. Razu pewnego wtargnęło do mego mieszkania 3 żandarmów. Przeszukali wszystkie szuflady, szafę, biurko, koszyk na papiery, szperali po kieszeniach, w piecu. Nie znaleźli niczego, co mogło by mi zaszkodzić. Z jednym żandarmem miałem poważną scysję. Oddalił się sam do drugiego pokoju. Wyprosiłem sobie to ostro, zwracając mu uwagę, że może tylko w mojej obecności przeprowadzać rewizję. Żandarmi z oburzeniem pokrzykiwali na mnie. Obstawałem przy swoim podając, że na konferencji informowano nas, że były wypadki, gdy podczas rewizji podrzucono jakieś obciążające dokumenty, aby nauczyciela zdyskredytować i aresztować. W podobny sposób odbywały się u mnie rewizje jeszcze dwukrotnie.

Gdy tak u mnie żandarmi grasowali, powstał we wsi popłoch. Ktoś uwiadomił o tym co się dzieje Kapałównę, ktoś inny Jaskólskiego, którzy rowerami wyjechali poza wieś. Zdenerwowała się nie tylko Kapałówna, ale i Tomaszewski, u którego mieszkała. Przechowywał on w domu sztandar polski, który w takich okolicznościach musiał ukryć w bezpieczniejszym miejscu — schował go więc w sianie. Gdy po odjeździe żandarmów Kapa-

łówna wróciła do swego mieszkania, wsunął się za nią Tomaszewski, zamknijąc drzwi na klucz i rozwinął kilkumetrowy czerwony sztandar z wyhaftowanym pośrodku białym orłem. „Pani — powiedział, a łzy spływały mu po twarzy strumieniem — on już raz wisiał i muszę doczekać się, aż go znowu rozwieszę”.

Większość ludności Nowego Kramska stanowili robotnicy. Nie znajdując zarobku na miejscu, co roku na wiosnę, wyjeżdżało kilkaset osób na prace sezonowe do cegielni, cukrowni itp., nieraz w dalekie strony. Byli to przeważnie mężczyźni. Wieś pustoszała. W domu pozostawały żony, matki z małymi dziećmi i starsi rodzice. Oczywiście ludność posiadająca gospodarstwa rolne, nie wyjeżdżała na prace — miała jej aż nadto u siebie. Przez trzy kwartały robotnicy ci żyli otoczeni morzem niemczyzny, wrogiej duchowi polskiemu, nie mając gdzie krzepić się narodowym tchnieniem. Tam nie było tych czynników, które broniły ich przed wpływami germanizacyjnymi. Tam nie było polskich stowarzyszeń, polskich nabożeństw, polskiego śpiewu. Przeciwnie — tam oddziaływały czynniki wrogie polskości, zabrania hitlerowców, śpiewy niemieckie. Młodzież uczęszczała wieczorami na zabawy taneczne, gdzie rozmawiano tylko po niemiecku i śpiewano tylko piosenki niemieckie. Toteż u niektórych po sezonowej nieobecności zaznaczało się zobojętnienie dla spraw narodowych. Było to szczególnie widoczne u młodych. Byli i tacy, którzy po powrocie ulegali wpływom wrogim naszej sprawie, łączyli się z renegatami.

Dziewczęta szukały pracy bliżej — pod Świebodzinem. Wyjeżdżały na prace sezonowe do okolicznych dworów. Pracowały tam przeważnie przy obróbce buraków cukrowych, sadzeniu ziemniaków itp. Na wpływy germanizacyjne mniej były narażone, gdyż przeważnie mieszkaly razem i pracowały razem. Pracując, śpiewały wesołe polskie piosenki, a miały repertuar wprost niewyczerpany, co było wielką zasługą pracy Romana Jaskólskiego. Ludność tamtejsza chętnie słuchała ich śpiewu. Były blisko nas, więc nie przestawaliśmy opiekować się nimi. Latem, w niedzielę, Kapałówna i Jaskólski odwiedzali je. Z dziewczętami z Nowego Kramska urządzali do nich wycieczki. Radośnie byli tam witani.

Krótko przed „Gwiazdką” wszyscy wracali z robót sezonowych do rodzinnej wsi. Znow wieś tętniła życiem. Teraz trzeba było rozwinąć szeroką działalność, aby wywabić obce narodowo wpływy. Żony i matki dopilnowywały, aby ich mężowie i synowie regularnie, jak dawniej uczęszczali na zgromadzenia polskie. Rodzice dokładali starań, żeby młodzież brała udział w polskich zebraniach. Toteż miesiące zimowe były okresem najbujniejszej pracy w stowarzyszeniach. Pracy wielokierunkowej, której poświęciliśmy wszystkie swoje siły, która w efekcie dawała nadzwyczajne wyniki.

Całą swoją działalność oparłem na bardzo bliskiej współpracy z Radą Rodzicielską. Należeli do niej: Stanisław Obst (prezes), Jan Cichy (jako prezes Związku Polaków), Waclaw Fabiś, Franciszek Piwecki, Agnieszka Wachowska, Anna Szyputowa, Marianna Białecka. Radę zwoływałem dość często na zebrania do klasy u Krawca. Z Radą Rodzicielską dzieliłem się kłopotami całokształtu życia w szkole i w poszczególnych stowarzyszeniach. W różnych drażliwych sprawach zasięgałem jej opinii. Członkowie Rady

informowali mnie o wszystkich wydarzeniach. Wspólnie obmyślaliśmy akcję pozyskania dla szkoły polskiej tych rodziców, których dzieci osiągały wiek szkolny itp. Rada Rodzicielska świadczyła mi duże usługi i nieraz ulżyła w ciężkich kłopotach. Od czasu do czasu — w porze letniej, a w zimowej — co miesiąc, zwoływał prezes Obst rodziców na ogólne zebranie. Przychodzili chętnie. Izba szkolna u Krawca nie mogła wszystkich pomieścić, dużo stało w sieni. Na programy tych spotkań składały się komunikaty, wykłady z przeźróżcami o Polsce, prelekcje historyczne, krajoznawcze, ludoznawcze, kulturalno-oświatowe, referaty z dziedziny higieny lub o treści religijnej. Zebrani chcieli łowili każde wypowiedziane słowo o Polsce. Z krajem ojczystym czuli się uczuciowo silnie związani. Doskonale obrazuje to akcja pomocy zorganizowana wśród mieszkańców Nowego Kramaska. Kłęska powodzi, która nawiedziła Polskę w 1934 r. odbiła się szerokim echem wśród kramaszczan. Każdy wyszukiwał bieliznę i garderobę, którą można by poratować powodzią. Czyściutko uprane i uporządkowane rzeczy znoszono do mieszkania Cichego. On sam po przewyciężeniu niezliczonych trudności, załadował dary na furę i przeprowadziwszy się przez komorę celną, ten dowód serdecznej troski rodaków z Nowego Kramaska dostarczył do Zbąszczyńca.

Wykłady na zebraniach rodzicielskich wygłaszali przeważnie nauczyciele, iniekiedy ktoś z rodziców. Np. Piotr Szypuła wygłosił dwa referaty o podróży do Rzymu, wycieczce zorganizowanej przez Związek Polaków. Brali w niej udział Polacy z całych Niemiec. Związek Polaków życzył sobie, aby każda wioska, w której była szkoła polska, wysłała co najmniej jednego przedstawiciela. Chodziłem wieczorami po domach takich rodaków, którzy według mego zdania mogli by zdobyć się na taką — bądź co bądź — kosztowną wycieczkę. Kramaszczanie znani są jako bardzo pracowici i oszczędni, niechętnie wydający ciężko zarobione pieniądze na ekstrawagancje. Toteż moje poszukiwania przez długi czas były bezowocne. W końcu wstąpiłem do Piotra Szypuły, człowieka bardzo poczciwego i szlachetnego. Poskarżyłem się przed nim, że nikt ze wsi nie chce jechać do Rzymu. Wreszcie zaproponowałem mu udział w tej wycieczce. Szypuła podumał trochę, poikiwał głową i rzekł: „Pojadę. Dlaczego nie miałbym jechać? Nie piję, nie palę, nie chodzę na zabawy, więc mogę jechać do Rzymu”. Z podjęcia tej decyzji zadowoleni byliśmy obaj. Pojechał i w czasie całej podróży uważnie wszystko obserwował, notował swoje spostrzeżenia i dzięki temu zebrał materiał, który umożliwił mu wygłoszenie dwóch interesujących referatów.

Na każdym zebraniu rodziców, a także wszystkich innych stowarzyszeń, ćwiczyliśmy śpiew. Dbaliśmy o to, aby to był śpiew właściwy, a nie jakies zawodzenia czy kakofonia dźwięków. Tematyka pieśni była rozmaita. Najbardziej jednak ulubionymi przez rodaków były pieśni religijne. Dlatego też na nabożeństwach kościelnych polski śpiew brzmiał nie tylko poprawnie, ale potężnie. Ten kościelny śpiew dał kilkakrotnie okazję do pogiębienia renegatów. Ich śpiew wypadł bowiem bardzo mizernie przy zgodnym chórze rodaków, nie mówiąc już o bogatej różnorodności naszych pieśni.

Matki-Polski były poważną ostoją polskości w każdej rodzinie. Żaden trud nie był dla nich za wielki — jeżeli chodziło o przygotowanie lub uświetnienie jakiegokolwiek z naszych imprez. Wypiekały stopy placków, pierników, szyły koszulki, fartuszki, pakowały paczuszki itp. Im to, bohaterkom dnia codziennego, dedykowaliśmy co roku „święto matki”. Wzruszające było to nasze wspólne uczczenie matek. Odbywało się ono na sali, a w czasie pogody w ogrodzie np. u Wincentego Adama. Wokół znajdowały się dekoracje, a przy długim stole pokrytym białym obrusem siedziały wszystkie matki. Naokoło stały dzieci. Śpiewały odpowiednie pieśni, deklamowały wierszyki na Dzień Matki. Pamiętam jak Zientarówna, złotousta mówczyni, wzruszyła swoim pięknym przemówieniem wszystkich uczestników do łez. Płakały matki, płakały i dzieci. Przy końcu przemówienia przystępowały dzieci do swych matek, całowały im ręce i wręczały kwiatki wraz z zobowiązaniami. Na zakończenie częstowano matki i dzieci kawą i plackiem.

W myśl zasady, że w jedności siła i aby „zestrzelić myśli w jedno ognisko, w jedno ognisko duchy”, gromadziliśmy wszystkich rodaków w poszczególnych stowarzyszeniach. Gdy objąłem urzędowanie istniały w Nowym Kramsku już następujące stowarzyszenia: Związek Polaków (prezes Cichy), Stowarzyszenie Robotników (prezes Cichy), Stowarzyszenie Rolników (prezes Fabiś), Stowarzyszenie Młodzieży (prezes Dominik Krawiec). W czasie mego urzędowania powstały jeszcze stowarzyszenia: Młodych Polek, Stowarzyszenie Kobiet, Przystosobienie Rolnicze, Koło Sportowe, Drużyna Harcerzy, Chór Cecylia. Cała wioska była świetnie zorganizowana. Każdy rodak należał do jednego lub kilku stowarzyszeń. W ten sposób mieliśmy możliwość oddziaływania na rodaków, budzenia i podtrzymywania ducha narodowego. Każde z wymienionych stowarzyszeń odbywało regularnie swoje zebrania. W porze zimowej, kiedy już wszyscy z pracy sezonowej wrócili, każde stowarzyszenie rozpoczynało pracę nad przygotowaniem przedstawienia amatorskiego, po którym odbywała się zabawa taneczna. Rozumie się, że przygotowanie tych imprez, bardzo miłych zresztą, spoczywało w dużej mierze na barkach nauczycielstwa. Praca ta miała swój głęboki sens. W pierwszych latach mej działalności, mieliśmy bowiem w stowarzyszeniach do czynienia z młodzieżą pozaszkolną, która słabo czytała po polsku, a pisała jeszcze gorzej. Celem przedstawień była więc między innymi nauka czytania i pisania. Uczestnik przedstawienia musiał swoją rolę sam przepisać i nauczyć się czytać. Później musiał rolę opanować pamięciowo, z właściwą dykcją. Pierwsze próby były usiane rozpaczliwymi, ale wytrwałymi wysiłkami, tak ze strony nauczycieli jak i młodzieży. Ale czego nie dokáže młodość, zapal i silna wola. Pracowitość dawała cudowne wyniki. Co pewien czas odbywało się nowe przedstawienie, przygotowane przez coraz to inne stowarzyszenie.

Młodzież żeńska zrzeszała się w stowarzyszeniu „Młodych Polek”. Liczyło ono ponad 40 członkiń. Abonowały nawet z kraju gazetkę „Młoda Polka”. Niestety nadszedł czas, kiedy władze hitlerowskie zakazały kolportażu gazetki. Członkinie nosiły błękitne mundurki. Występowały w nich na uroczystościach kościelnych, wycieczkach, zabawach. Prowadziły kursy gotowania, robótek. Pożytecznych tych umiejętności uczyły znów nauczycielki.



Po dwóch latach pracy urządzono wystawę robótek. Umiejętności naszych nauczycielek i dziewcząt nabierały rozgłosu. Z daleka przyjeżdżano, aby wystawę robótek obejrzeć. Na zakończenie kursu gotowania Zientarówna urządziła coś w rodzaju przyjęcia, na którym dziewczęta zdawały egzamin — z nakrywania i podawania do stołu, przyrządzania potraw. Próbowaliśmy ich kulinarne dzieła — były doskonałe.

Nieraz, gdy po zakończonych zajęciach, próbie lub lekcji robótek, wychodziliśmy na ulicę późnym wieczorem koło 22 — 23 godziny, obrzucano nas gradem kamieni. Pod osłoną nocy tak zaszczytnie walczyli z nami germanizatorzy.

Dziwne się może wydać, kiedy nauczyciele znajdowali czas na te wszystkie zajęcia. Na rozdwojenie jaźni nie cierpieli. Pracę rozpoczynali wczesnym rankiem, pracowali — czasem bez wytchnienia — do późnej nocy. Zimą próby imprez odbywały się nieraz w nie ogrzanej sali. Skostniałych z zimna, ale uśmiechniętych nauczycieli, współczujący rodacy zapraszali na gorącą kawę, herbatę, pączki. Pamiętam takie serdeczne wieczorne spotkania u Sikucińskich i Obstów. Nauczyciele skracali nawet swoje wakacje, aby jak najdłużej przebywać wśród rodaków, aby jak najtroskliwiej pilnować polskich interesów.

Zespół „Przysposobienia Rolniczego” miał za zadanie podnoszenie kwalifikacji w dziedzinie hodowli roślin. Każdy uczestnik na swoim poletku, uprawiał wybraną przez siebie roślinę. Instruowali Kapałówna i Jaskólski. Od czasu do czasu przyjeżdżał główny instruktor — Dorcz ze Złotowa. Gdy nadszedł czas zbiorów — znów zaistniała okazja do oryginalnej wystawy. Z wszystkich ośrodków, gdzie były szkoły polskie, przybywali członkowie zespołów „Przysposobienia Rolniczego”, przywoząc ze sobą najwspanialsze, wyhodowane na swoich poletkach okazy. Były to np. główki kapusty, buraki, marchew, kukurydza itd. Wystawa odbywała się na sali u Klemta. Każdy ośrodek demonstrował swoje osiągnięcia. Całość robiła imponujące wrażenie. Niektóre eksponaty budziły podziw. Zwykle przybywał wtedy także delegat z Wielkopolskiej Izby Rolniczej z Poznania. Wieczorem odbywało się przedstawienie ze śpiewami i deklamacjami. Pamiętam jak bardzo przemawiała do wyobraźni inscenizacja pieśni: „Siałem rutę”. Innego roku przedstawienie było osnute na tle wiersza Konopnickiej „Błogosławiona dobroć człowieka”. W środku sceny stała dziewczynka, trzymająca chleb w rękach. Tło stanowiły pięknie przebrane dziewczynki z sierpami w rękach i chłopcy z kosami. Pod koniec pieśni, gdzie mowa o chlebie powszednim — dziewczynka podeszła do gościa z kraju i trzymany chleb jemu ofiarowała. Ten artystyczny incydent był dla niego tak miły, że gdy dużo później spotkałem go na ulicy w Poznaniu, wspominał serdecznie imprezę, w której w Nowym Kramsku uczestniczył.

Trudno przypomnieć i wymienić wszystko, co dla pokrzepienia ducha polskiego nauczyciele zorganizowali. Dla podtrzymania zwyczajów polskich urządzano dla młodzieży męskiej „andrzejki”, a „katarzynki” dla młodzieży żeńskiej.

Młodzież i dorośli mieli więc zorganizowane bujne życie kulturalne, które szczególnie aktywnie rozwijało się w sezonie zimowym. Zobojetnienie narodowe, które przytrafiło się rodakowi, wtopionemu w okresie roboty sezonowej — w morze obczyzny, zostało wówczas zupełnie usunięte.

My nauczyciele z pogranicza babimojsko-międzyrzeckiego spotykaliśmy się mniej więcej co kwartał przy okazji konferencji rejonowych. Celem tych konferencji było dalsze kształcenie się nauczycieli. Każdorazowy termin konferencji wyznaczał inspektor Mozolewski, który urzędował przy Polskim Towarzystwie Szkolnym w Złotowie. Był on zarazem łącznikiem między władzami szkolnymi w kraju i w Niemczech, a nami nauczycielami. Jako przewodniczący rejonowych konferencji, zapraszałem nauczycielki i nauczycieli na oznaczony dzień, podając jednocześnie porządek obrad. O terminie, jak również o programie konferencji musiałem informować każdorazowo niemieckiego inspektora szkolnego Strukata w Kargowej. Niekiedy przyjeżdżał w czasie naszych obrad. Czasem przybywał w towarzystwie wizytatora z Piły. Interesowali się bardzo tym co działo się na konferencjach, badali protokoły konferencyjne.

Charakter konferencji naszych najlepiej zilustruje przykład porządku dziennego jednej z nich, która odbyła się 28 czerwca 1930 r.:

1. Lekcja pokazowa krajoznawstwa w oddziale średnim na temat: Nasza wioska (Walasiak),
2. Dyskusja nad przeprowadzoną lekcją,
3. Referat: Istota regionalizmu oraz zastosowanie pierwiastków regionalnych w nauce szkolnej (Mozolewski),
4. Zastosowanie mapek ścieralnych i powielaczy w nauce krajoznawstwa (Mozolewski),
5. Komunikaty, sprawy aktualne, wolne głosy.

Rzecz oczywista, że realizacja takiego programu rozszerzała zakres wiedzy pedagogicznej. W wolnych głosach mieliśmy okazję wypowiedzieć nasze bolączki, podzielić się doświadczeniami, służyć sobie dobrą radą, co miało dla nas wielkie znaczenie. Po konferencji, po wspólnym obiedzie, spędzaliśmy resztę dnia na koleżeńskich pogawędkach.

My nauczyciele i rodacy, przez nieustanne współzycie i współpracę tworzyliśmy jednolitą społeczność, przepojoną wspólną ideą. Nic nie było nam obce, co dotyczyło rodaków w Nowym Kramsku. W swoich różnorodnych kłopotach i potrzebach trafiali zawsze do nas. Zwykle odbywało się to w bardzo późnych godzinach wieczornych. Stukanie do okna dawało znać, że komuś nasze doświadczenie i rada mogą być potrzebne. Radziliśmy jak umieliśmy najlepiej. Bo bliskie były nam wszystkie sprawy rodaków. Toteż nieraz nazywali nas swoimi opiekunami.

Odległe to czasy, kiedy na babimojskiej ziemi przeżyłem długich kilka lat. Były one wypełnione pracą trudną, ale niezwykle ciekawą. Życie stwa-

rzało tam niejednokrotnie sytuację i problemy specyficzne, niespotykane w toku pracy nauczycielskiej w kraju. Rozwiązanie takich życiowych „rebusów” spędzało mi nieraz sen z powiek. W nocnych godzinach przetrwiałem rozliczne kłopoty, z którymi musiałem się nieraz borykać i szukać środków zaradczych do ich przewycięzenia. Zdarzało się, że nadszedłoby mnie zwątpienie. Warunki pracy były bardzo ciężkie. Były to przecież czasy nasilonej walki z przejawami polskości w Niemczech. Hitlerowcy prowadzili tę walkę w sposób bardzo przebiegły, operując środkami, które mogły wpłynąć decydująco na życie niejednego Polaka i przeciągnąć go do grupy „renegatów”. Podziwu godną jest rzeczą, że większość kramskich Polaków wytrwała w polskości, mimo terroru z jakim spotykali się na każdym kroku. Nam nauczycielom, nieodmiennie towarzyszyła z jednej strony nieprzejednana i podstępna wrogość władz hitlerowskich, fałsz i podłość renegatów, a z drugiej strony zaufanie i postawa pełna godności oraz nieustępliwość wiernych polskości rodaków kramskich. Zawsze z wielkim nabożeństwem mówili oni o Polsce, tęsknili za Polską i byli silnej wiary, że nadejdzie ta chwila, kiedy będą mieszkali w obrębie granic Państwa Polskiego. Walce o podtrzymanie polskości w tych ciężkich warunkach poświęciłem wszystkie moje siły, energię i doświadczenie. Opuszczając tę placówkę i wracając do kraju — z powodu poważnie nadwyrężonego stanu zdrowia, a zwłaszcza nerwów — mogłem z zadowoleniem stwierdzić, że wyniki mojej długoletniej pracy były korzystne. Ilość uczęszczających do polskiej szkoły dzieci nie tylko nie zmniejszyła się, ale wręcz przeciwnie wzrosła poważnie do około 120. Takim procentem wzrostu uczniów nie mogła poszczycić się żadna inna polska szkoła na terenie Niemiec w okresie omawianych lat, to jest od 1 stycznia 1930 r. do 31 grudnia 1937 r.

Minęły długie lata. Z ludźmi z Nowego Kramaska zerwał się mój kontakt z chwilą wybuchu wojny. Hitlerowskie łapy w jednej chwili uczyniły ze mnie nędzarza, człowieka bezdomnego, pozbawiając mnie dorobku całego życia. Bestialska przemoc boleśnie dała się we znaki mojej rodzinie i mnie. Ze ściśniętym sercem nieraz więc myślałem o bliskich mi rodakach z Nowego Kramaska. Zbyt dobrze wiedziałem jakie teraz mogły być skutki ich niezmiennego przywiązania do polskości. Toteż gdy wojna skończyła się chciwie łowiłem wszelkie wiadomości z kramskich okolic. Pojechałem tam. Witali mnie radośnie i serdecznie. Ale wiele również smutku przynosiło mi spotkanie z nimi. Opowiadania pełne były męki przeżytej, łez wylanych nad grobami udręczonych.

Potem przyszły na mnie jeszcze inne doświadczenia życiowe — częściowa utrata wzroku, dolegliwości serca — na skutek których rzadko już teraz opuszczam miejsce zamieszkania. Siedząc w ciszy mego skromnego pokoiku, oczyma wyobraźni nieraz widzę sprawy i ludzi, którym dużą część mego życia ofiarowałem.

Trudne to były lata, ale bogate w piękne chwile. Podziw mnie ogarnia dla tych przez długie lata odciętych od Macierzy polskich wieśniaków i robotników, których tam poznałem. Miłość ojczyzny oraz nadzieja, że docze-

*Wspomnienia z pracy w szkole polskiej w Nowym Kramsku*

---

kają chwili, kiedy ziemia, na której z dziada pradziada mieszkają, znów zostanie objęta granicami Państwa Polskiego, była w całym tego słowa znaczeniu — treścią ich życia.

Niezachwiana ich wiara doczekała się wolności — „wytawali i wygrali”.

Poznań, w lutym 1961 r.

Do druku opracował: **Tadeusz Kajan**



Žary

Fot. Z. Ceglarek